

Z pustych serc w próżną formę



fot. cgtrader.com

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Nie raz już zastanawiano się nad problemem twórczego pisania poza krajem, z dala od polskiego społeczeństwa. Nie chodzi o czasowe pobyty pisarza za granicą, ale o Polaków stale przebywających poza ojczyzną. Wystarczy spojrzeć na same tytuły artykułów i antologii, aby zdobyć niezłą orientację w materii: „Mowa bez ziemi”, „Ryby na piasku”, „Opisanie z pamięci”, „Cena wolności” itp. Te nagłówki dostatecznie mówią o anormalnych warunkach piszącego na emigracji w ojczystym języku. O ile jest zrozumiałe i naturalne, że pisarze wyrzuceni z ojczyzny przez kataklizm historyczny i nie mogący z powodu sytuacji politycznej do niej powrócić, piszą dalej, kontynuują swoje powołanie artystyczne czy naukowe, o tyle dorastająca za granicą młodzież jest w innej sytuacji. Kiedy młody człowiek podejmuje pióro, nawet we własnym kraju w normalnych warunkach, robi krok pełen ryzyka. Jest on szansą, a może się stać wielką przygodą. Debiutant musi opanować narzędzia swego fachu, umieć przekonać do siebie kolegów, znaleźć odbiorców. Jeżeli ma talent, czuje gust czytelnika, to startuje pod pomyślnymi znakami. Debiut wśród obcych w mało znanym otoczeniu bez zapewnionych czytelników jest zupełnie inną propozycją.

Takie trudne początki miała grupa młodych Polaków, która w latach pięćdziesiątych znalazła się w Anglii, precyzyjniej: w Londynie. Na przykładzie ich terminowania, najpierw w Kole Polonistów, a następnie w redakcjach pism studenckich

„Życie Akademickie”, „Merkuriusz Polski” i „Kontynenty” można obserwować ich początki. Trzeba na wstępie zaznaczyć, że byli oni dziećmi, kiedy wybuchła wojna, najstarszy z nich liczył czternaście lat. Języka polskiego douczali się w sowieckich posiołkach, w obozach wojskowych, na pracach rolnych. Nie była to szkoła najlepsza.

Równocześnie poddani byli interferencji języków obcych z angielskim na czele, który był nie tylko językiem społeczeństwa, z którym związali swoje losy, ale zwycięskim medium, które podbijało wszystkie kontynenty stając się bezspornym językiem światowym.

U tych młodych, mimo rozległych perspektyw, jakie ukazywał język angielski, zwyciężył jednak język polski, niedouczony, taki jakim władali, jako język pierwszy i kulturowo decydujący. On się stał materią ich pisarskiej twórczości. Układając po polsku pierwsze wiersze czuli, że weszli na niezmiernie uciążliwą, ale właściwą i jedyną drogę.

Normalną kolejną sprawą, powinni się być uczyć od swoich starszych kolegów o przedwojennym dorobku i kontynuowanej twórczości, a nie brakowało ich w stolicy Wielkiej Brytanii, w której schronił się legalny rząd i powstały liczne placówki dające poczucie namiastki państwa, również instytucje kulturalne jak uniwersytet, dynamiczna biblioteka, teatr, Związek Pisarzy

Polskich na Obczyźnie, bogata prasa i szereg domów wydawniczych. Logiką nowego pokolenia nie poszli w ślady starszych, bo kierunek wytyczony przez nich nie był dla debiutantów atrakcyjny. Młodzi czuli się inni, mieli tylko ograniczoną pamięć ojczyzny, a już byli po części z Zachodem zżyci.

Z początku funkcjonowali jako dziwny fenomen, *curiosum* zgoła na polskiej scenie. Ale w miarę jak szli dalej własną drogą, nie potrzebowali wskazań innych, odezwały się głosy niezadowolenia i cenzury. Krytykowano szczególnie ich twórczość poetycką.

Poezja współczesna nie ma czytelnika. Trudno jest powiedzieć czy to z winy samych poetów, którym się zarzuca odejście od człowieka, czy należy zapisać to na karb elitarności poezji wymagającej zbyt wiele od odbiorcy, czy wreszcie winić ducha czasu objawiającego się w innych mediach. Można oczywiście kroczyć wśród epigonów i „podoać się” mało wybrednemu audytorium, ale to nie każdego zadawała. Oryginalność i nowatorstwo są zawsze trudne i ci, którzy im hołdują, płacą wysoką cenę w postaci braku zrozumienia i popularności. Nie mniej stanowią one wyzwanie raz po raz podejmowane. Nie inaczej było z poetami londyńskimi, o których mowa. Zarówno ich niegodzenie się z zastanym, jak i brak pisarskiego doświadczenia i w rzeczy samej nikły dorobek oraz zbyt schematyczne określanie swojej postawy, sprawiły, że byli w

swoim czasie celem ataków starszych pisarzy.

Potykał się z nimi solidnie w polszczyźnie osadzony **Zygmunt Nowakowski** (1891-1963). Nie rozumiał rozterki młodych w wyborze języka. Pasował ich łaskawie na biegłych praktyków przewidując, jak się miało okazać, trafnie, że mimo odgrazania się, przy języku polskim pozostaną. Natomiast **Jan Rostworowski** (1919-1975), poeta popularny, którego lubiane wiersze zapełniały sale, zgłosił zasadniczy sprzeciw. Dla niego już sama myśl, samo podawanie w wątpliwość sensu tworzenia na uchodźstwie w języku polskim, było herezją. Jego schronienie się w mowie, którą znał znakomicie, było szczęśliwsze od sytuacji młodych, ciągle jeszcze terminatorów, których wabiły różne perspektywy i nęciły szanse na opanowanie bardziej przydatnego języka.

Jan Rostworowski był znacznie od Zygmunta Nowakowskiego młodszy i wiekiem i wykształceniem zbliżony do grupy młodych poetów. Nie dostrzegał jednak ich problemu, jaką była niezgoda na tematykę i formę pisarstwa starszych kolegów. Widział w niej po prostu chęć odejścia od człowieka, w tym wypadku od człowieka emigracyjnego i ochotę służenia sztuce dla sztuki. Dziwił się, że młodzi, którzy w lwiej części nie posiadali biografii wojennej, zainteresowani byli tematyką odmienną i przewrotnie lekceważyli symbole swoich ojców, którzy dopiero co wyszli, dotkliwie doświadczeni, z kataklizmu wojennego. Zawieszeni

między niemożnością podążania wydeptaną ścieżką a dramatem przypisania do języka pozbawionego konkretów i rzeczywistości, którą wyrażała, jasno widzieli swoją niepewną przyszłość. Chcieli wyjść na pisarzy, mierzyli wcale wysoko nie mogąc liczyć na czytelnika, który im będzie towarzyszył, odrzucali równocześnie epigoństwo i twórczość okolicznościową, pisarską polonijność w sensie zamkniętych horyzontów, taryfy ulgowej i braku ambicji.

Rostworowski dostrzegał jedynie odżegnywanie się od losu grupy wychodźczej dla pustego hołdowania czystej twórczości. Dlatego przepowiadał „palec piszący na ścianie 'mane tekel fares' ich artystycznej porażki”. Dziwiło go, że młodzi nie przewidywali sukcesów, że spodziewali się pustki. Sami ją wytworzyli i dlatego byli dla niego ludźmi osobliwymi, trochę z innej planety, ludźmi, którzy znaleźli się mimo woli w skomplikowanej sytuacji.

Wolność mają. Wolność – że zapożyczę się u Miłosza – przed strachem zniewolonego umysłu. I to ich tu trzyma. Na jak długo? Trudno przewidzieć. Może dopóty, dopóki strach przed próżnią nie okaże się silniejszy niż strach przed zniewolonym umysłem.

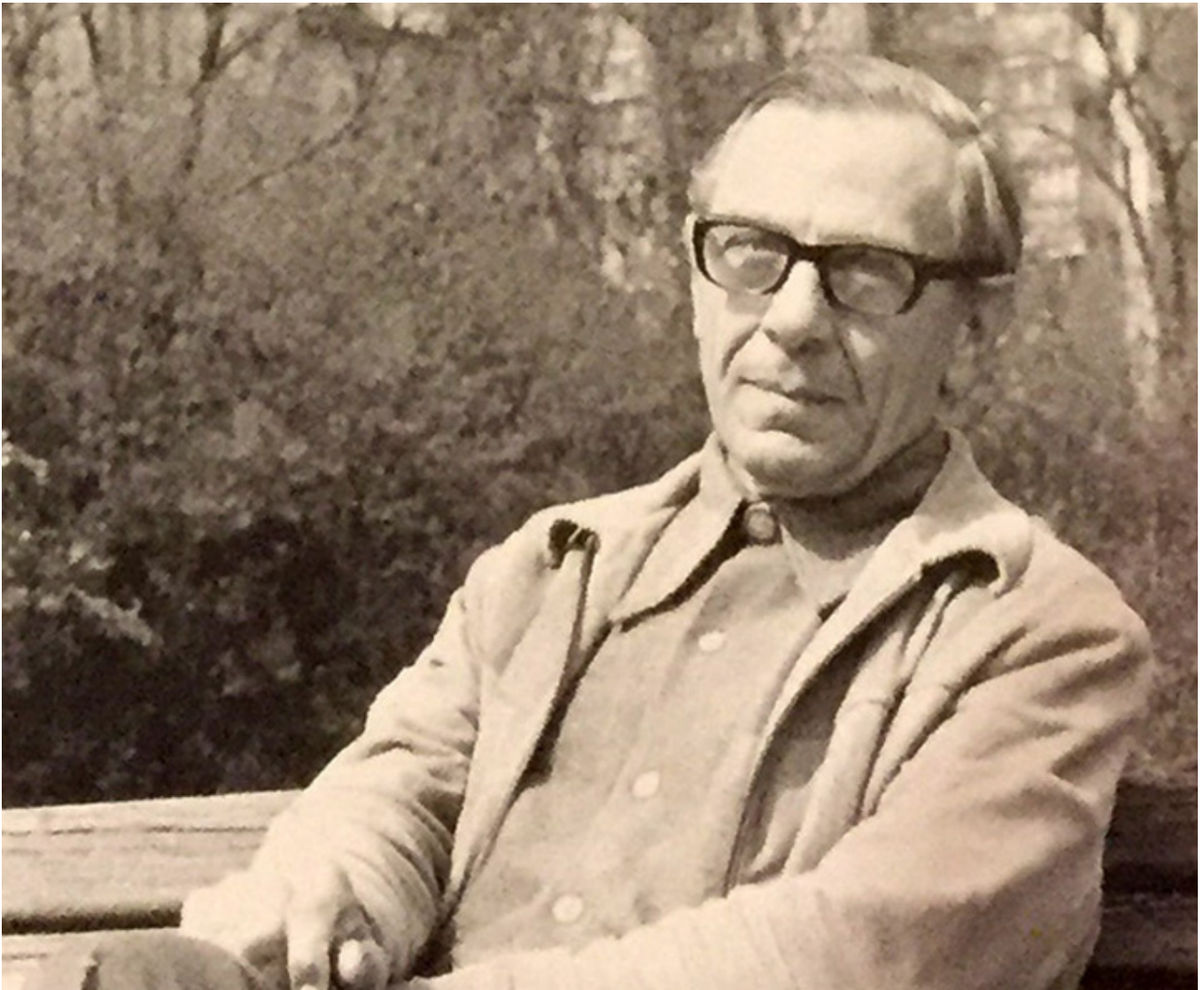
Taki los przepowiadał wiele lat temu poeta wówczas mocno osadzony na emigracji, wzięty i celebrowany liryk. Czy później miał jakieś wątpliwości, co do swojej prognozy? Bo „strach przed

próżnią” okazał się jednak słabszy. Młodzi, o których pisał tak namiętnie, postarzelili się na emigracji, za to Rostworowski wrócił do Polski. Wyroki przyszłości są niezbadane, ale prywatne decyzje zasługują na szacunek. W cytowanym już artykule (Haracz wolności, *Tydzień Polski*, 11.03.1961) poeta krakowski pomówił nas ponadto, że uciszyliśmy w sobie „teologiczny dialog” i że przelewamy „z pustych serc w próżną formę”. Dlatego, zdaniem autora, z tym bagażem nie wnijdziemy do Królestwa.

Wyrokowanie o zbawieniu bliźniego jest czynnością pochopną. Chcę wierzyć, że także w tym wypadku nasz krytyk nie będzie miał ostatniego słowa.

Rezygnacja z łoża. Jan Rostworowski

(1919-1975).



Jan Rostworowski, Kraków 1972 r., fotografia pochodzi z książki Andrzeja Gałowicza „Twórczość poetycka Jana Rostworowskiego” (2008), arch. Bogusława Rostworowskiego.

Florian Śmieja

W Szkocji w roku 1945 wypadło mi pojechać do Edynburga z

maszynopisem obozowej jednodniówki. Jako autor większej części zawartych w niej okolicznościowych wierszy doskonale pamiętam, jak jeden z zecerów wojskowej drukarni w pewnej chwili zawołał do kierownika: „Panie poruczniku, ma pan rywala w pisaniu wierszy”. Na to do pokoju wmaszerował przystojny młody oficer, wziął do ręki plik maszynopisów speszzonego starszego strzelca, przerzucił je i wnet wyszedł uspokojony. Takie było moje pierwsze spotkanie z poetą Janem Rostworowskim.

Krakowianin, syn wybitnego dramaturga i poety, Karola Huberta, którego kolędę z wielkim pietyzmem recytował mi Jan Rembieliński w Londynie, kiedy odprowadzałem go z biblioteki *British Museum* do jego hoteliku - brał udział w kampanii francuskiej, a potem ewakuowany został do Wielkiej Brytanii. W czasie wojny debiutował jako poeta i wydał szereg tomów wierszy lirycznych, fraszek i prozy. Współpracował m.in. z czasopismami „Polska Walcząca”, „Wiadomości”, „Tydzień Polski”, „Oficyna Poetów”. Był członkiem jury dorocznej nagrody „Wiadomości” oraz laureatem nagrody Kościelskich.

Rostworowski pisał poezje, które się podobały. Na jego wieczorach autorskich w Stanach Zjednoczonych było tłoczno jak na bankietach. Kiedy redagowałem pismo młodych, skrzyżowaliśmy kilka razy szpady. Były to typowe porachunki piszących, nie pozbawione przekory i zazdrości. Jedna strona

pomawiała rywala o kataryniarstwo i rolę bawidamka, druga wytykała adwersarzowi „niezrozumialstwo” i „krótkie majtki”.

Później przez wiele lat nasze drogi się nie schodziły, ale pewnego razu Rostworowski wracając do siebie z Londynu (mieszkał w północnej Anglii) nałożył nieco drogi i odwiedził mnie na wsi pod Nottingham. Zajechał swoim nowiusieńkim wozem i zamaszyście oraz dziarsko wszedł do salonu. Jego pewność siebie nie była bez wpływu na naszą rozmowę, która jakoś się nie kleiła. Na domiar złego udało mu się poprawić mnie parę razy, co było dlań pewnego rodzaju satysfakcją za wcześniejsze polemiczne boje. Zaspokoiwszy ciekawość wyjechał. Wizyta nie doprowadziła do nawiązania bliższego kontaktu.

Dopiero podczas pobytu w Krakowie spotkałem go ponownie, gdy na Salwatorze wizytował swoją rodzinę. Bardzo do niej tęsknił. Mocował się ze sobą. Wreszcie powziął decyzję powrotu do Polski na stałe. Nie była to dlań decyzja łatwa. Nie jechał z zamkniętymi oczami. Polskę znał nie z lektury, a ból nieuczestniczenia w dramacie ojczyzny odczuwał dotkliwie:

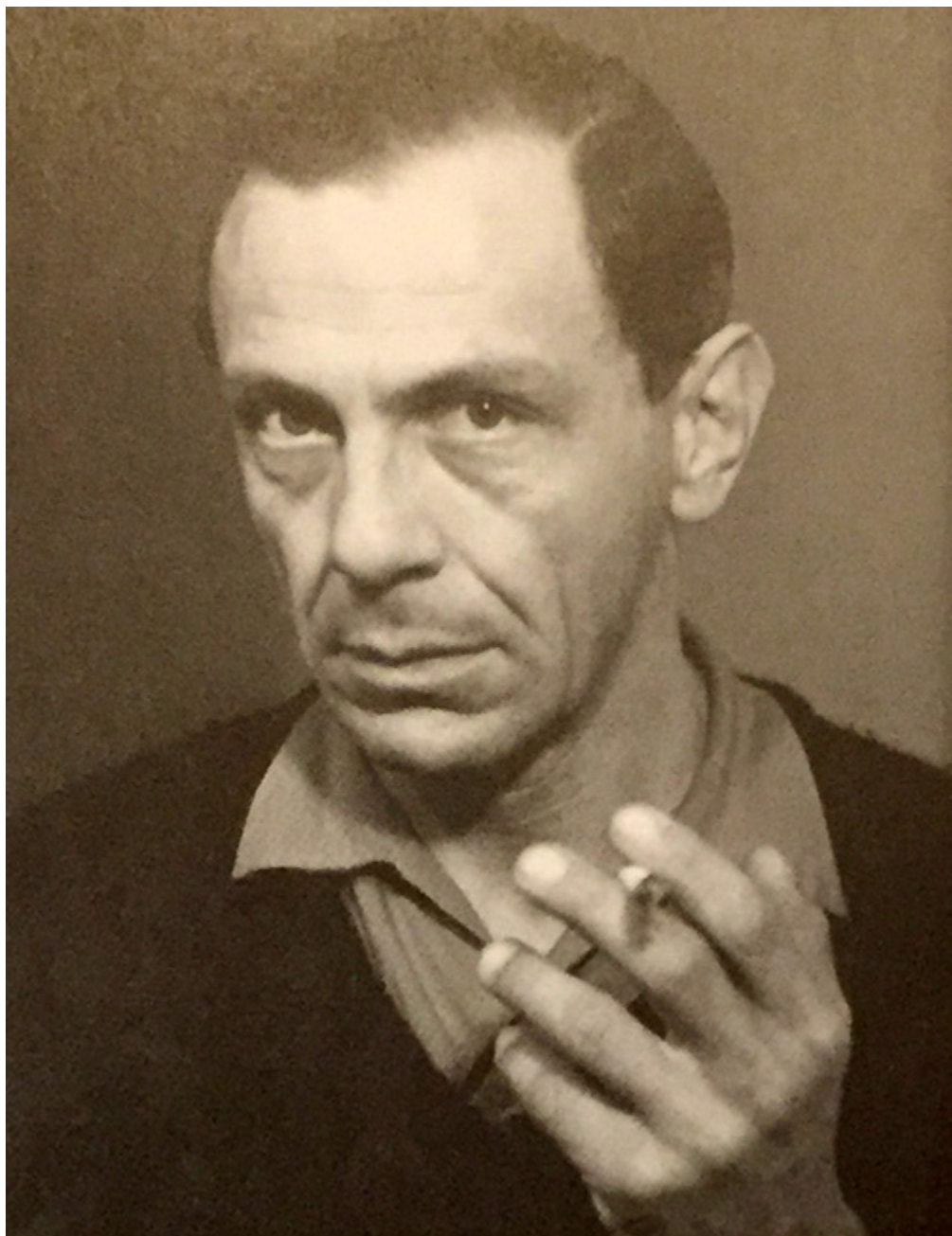
To nie mnie uderzyła pałka w rozruchach w tym mieście
człowiek w niebieskim hełmie to nie jest mój stryj,

na tych barczystych panów w cyklistówkach

zwiezionych autobusami, patrzę, jak gdyby z łoży.

Powrót do kraju był rezygnacją z łoży. W liście z 10 września 1968 pisał m.in.:

Sprawy polityczne ostatnich tygodni tak (mnie) zgryzły, że czuję się tak, jakbym truciznę pił. Oczywiście nie potrzebuję dodawać, że te sprawy „rzutują” i na mój los osobisty, bo jakoś nie potrafiłem zneutralizować ich w sobie i to się w pisarstwie moim odbije i to mi może bardzo utrudnić życie. Zazdroszczę tym ludziom, którzy nie mają żyłki do włączania się jakoś w losy zbiorowości i potrafią opisywać „życie na wsi” czy „trzeptanie się ducha ponad wodami”, jak to czyni z powodzeniem świetny i autentyczny poeta Tadzio Nowak. Albo żeby tak można było utonąć w smakach i drżączkach baroku, jak Grochowiak. No, ale nie można.



Jan Rostworowski, Lancaster ok. 1960 r., fotografia pochodzi z książki Andrzeja Gałowicza „Twórczość poetycka Jana Rostworowskiego” (2008), arch. Bogusława Rostworowskiego.

Tymczasem sklep z delikatesami w Lancaster prosperował nieźle. („Sprawy pisarskie i handlowe – ta przeklęta kombinacja, z której się już chyba do końca życia nie wymigam – obsiadły mnie mocno”.) W lirycznym pożegnaniu pt. „Zamykamy” poeta-kupiec zanotował:

Nigdy nam nie szło tak dobrze jak teraz. Co zdaje się jest w normie, jak w miłości przed przeminięciem, czy u kwiatu przed zwiędnięciem.

Cały bowiem ten kram, choć prosperował i zapewnił byt rodzinie, był mimo wszystko nieporozumieniem, a co najwyżej wyzwaniem. Poeta odejście skwitował słowami:

Tylko, że myśmy nigdy przecież nie byli aprowizacją... Myśmy tylko znali słoneczne miejsce dla oliwki, źdźbła pachnącej trawy dla bretońskich ślimaczków i tę chwilę, w której owoc kandyzowany już nie jest tylko owocem i jeszcze nie jest tylko cukrem.

Wrócił z emigracji w 1968 roku – jego powrotowi towarzyszyły drwiny i insynuacje. A on wracał z tajoną przed ludźmi chorobą. W Krakowie przy ulicy św. Jana stoi kamienica, jego kamienica. Odstąpiono mu dawną stajnię w podwórzu z dostojnymi, starymi sklepieniami. Po ciotce dostały mu się stylowe meble. I tak powstało gniazdo, w którym otoczony przez rodzinę i odwiedzany przez przyjaciół poeta znowu znalazł oparcie.

Kiedy go tam odnalazłem, otrzymałem tomik wierszy miłosnych z

dedykacją: „W pierwszy krakowski wieczór, aby ich było więcej”. Tak pisał człowiek z wyrokiem śmierci w kieszeni. Nigdy zresztą o raku nie wspominał. Zawiózł mnie jeszcze swoim samochodem do Tyńca, ale już w wierszu z tego okresu powiedział:

Kilka razy pięknie zaśpiewał ptak

kilka razy pięknie uśmiechnęła mi się kobieta

i przeszło życie.

Jednakże na jesieni 1974 roku trwało ono jeszcze i tliła się iskierka nadziei, którą usiłowały rozdmuchać podróże do brytyjskich lekarzy.



Kraków, ul. Św. Jana, lata 60.

Raz idąc do niego na ósmą wieczorem przystanąłem obok Sukiennic, by posłuchać hejnału, który o tej porze brzmiał najwyraźniej. Po skończonej wizycie Rostworowski odprowadził mnie do samochodu zaparkowanego na Rynku, aby wysłuchać ze mną kolejnego hejnału. Wtedy widzieliśmy się po raz ostatni. Bo kiedy w lecie następnego roku pukałem do drzwi jego mieszkania, zastałem je zamknięte. Odpoczywał w Lanckoronie, a wiersze, które pisał, tchnęły przeczuciem zbliżającej się śmierci. Utrzymane w tonie godnym, a równocześnie pełnym pokory mówiły o tym, jak to poeta tematami żył zamiast ludźmi, że serce „za długo, za starannie chował w sobie myśląc, że pod żebrami jest na swoim miejscu”. Porzucił poeta „niebo z

papieru”, pisał o moście. Takiego w końcu stał się przedmiotem monologu, gdy leżał skazany:

A teraz w końcu - powiada Stworzyciel -

mam go już na czworakach.

Orać nim można, bronować

tę ogromną resztówkę nazywaną niebem.

Potem zaczęły dochodzić złe wieści i nachodzić gorsze przeczucia. Bałem się pisać, bo donoszono mi, że chudł, że nie przyjmował pokarmu. Umarł w listopadzie. Umarł młodo, ale zdążył znaleźć się tam, gdzie każdy poeta chce przebywać: w swojej ziemi, pogodzony ze sobą i ze światem.

Któż z nas ma pewność, że dożyje kresu pod przychylniejszą gwiazdą?